



Stanisław Wnorowski

część I z II

Sygnatura notacji: **N0128**

Data urodzenia: **22.04.1947 r.**

Data nagrania: **30.05.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Przemyśl, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 57 min, część II: 68 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Wnorowski: Moje nazwisko Wnorowski Stanisław, urodzony 22 kwietnia 1947 roku w Rzeszowie na zamku w celi śmierci. Ponieważ mama moja była dzieckiem niepodległościowym, wywodzącym się z rodziny wojskowej, miała również rodzeństwo, czyli dwie siostry i brata. Najstarsza siostra Jadwiga, Wanda, Stanisław i Alicja. Urodziła się w Morawicy koło Krakowa 16 października 1918 roku. Po przyjeździe do Przemyśla rodziców ukończyła liceum benedyktynek w 1936 roku na przełomie 1936–1937 roku. Pracy nie miała, z uwagi na to, że tereny koło Przemyśla były zruszczone i aby nauczyć dzieci i młodzież języka polskiego, podjęła się tej nauki po wioskach i nauczala do okresu wojny. W czasie okupacji przyszli tutaj Niemcy i Sowieci. Jedna część Przemyśla za Sanem należała do Niemców, natomiast ta część należała do Sowieców. Mama mieszkała przy ulicy Matejki, pod zamkiem, w centrum miasta praktycznie i tam całkiem prosto przebywała z rodzicami. Rodzice byli już w wieku starszym, więc ktoś musiał podjąć jakąś pracę, aby móc utrzymać rodzinę, bo była i babcia, mama i dziadek. Pod koniec wojny w 1944 roku, mama podjęła decyzję o przystąpieniu do organizacji AK. Do tej organizacji przystąpiła na ogół dzięki swojej koleżance Irenie Szajowskiej, która poprosiła ją do siebie, kiedy przyjechał jej wuj, który był szefem brygad wywiadowczych i całkiem po prostu Irena Szajowska mówi do mamy: „Słuchaj, może przystąpiłabyś do organizacji”. Mama pyta się: „A czy ty należysz?” Mówi „Należę, ale ty sama musisz podjąć decyzję i rozmawiać z pułkownikiem”. I mama przeprowadziła tę rozmowę, wyraziła zgodę i od tej pory rozpoczęły pracę w organizacji jako łączniczki. Oczywiście początkowo to przewoziły różne materiały będące od innych osób należących do organizacji, do Przeworska, do kościoła, jak i do Rzeszowa. To były ich zadania takie początkowe. Ale już w pewnym momencie w 1945 roku szef organizacji przyjechał jeszcze raz, gdzie mama i Irena złożyły przysięgę, lecz już całkiem po prostu jako pracownicy, czyli funkcjonariusze wywiadu, brygad wywiadowczych. I rozpoczęły swoją pracę również od tego,

gdzie całkiem po prostu wszelkie informacje przekazywały szefostwu względnie do klasztoru benedyktynów w Przeworsku i do Rzeszowa. Więc organizacja całkiem po prostu zobowiązała je do podjęcia pracy w policji [milicji], wojsku, w UB, obojętnie w jakich organizacjach, strukturach wojskowych, gdzie powinny podjąć tę decyzję gdzie kto dostanie pracę. Więc ustaliły, Irena mówi: „Ja nie potrzebuję, bo ojciec pracuje i tak dalej, ale Ala potrzebuje pracy i ją całkiem po prostu zmobilizujemy do pracy, tylko jak dostać się do wojska, do policji, czy do innych struktur wojskowych czy milicyjnych, czy jakichś innych”. I pewnego razu, ponieważ tutaj Irena Szajowska była sportsmenką, grała w siatkę i remont klubu sportowego „Czuwaj”. Już po remoncie było poświęcenie klubu. Irena zaprosiła mamę, mówi: „Chodźmy na potańcówkę, bo tam potańczymy sobie i tak dalej”. Więc poszły na tę potańcówkę i jeden z panów, który tam był, poprosił mamę do tańca i pyta się Alę, czyli Alicję do tańca. Pyta się do której klasy chodzi i tak dalej. Mówi, „Ja jestem już po maturze i szukam pracy”. „A czy pracujesz?” – „Szukam pracy”. „Coś postaram się znaleźć”. No i po pewnym czasie... A zamieszkiwał przy ulicy Grodzkiej, poniżej Matejki. Matejki w górze, a tutaj przy ulicy Grodzkiej. No i tak spotykali się, idąc do miasta i w pewnym momencie mówi: „Mam dla pani pracę”. No, mama się ucieszyła, mówi: „Dobrze”. To wsadzili ją w samochód i zawieźli, zawieźli do UB. Nie wiedziała, mówi, przyjeżdża, to za kratami, wszystko, jedne kraty, drugie kraty, prowadzą ją. Myślała początkowo, że ją aresztowali, ale mówi, że: „Tu będziesz pracować”. I okazało się, że to był sekretarz partii, ten który tańczył z mamą, łazarczyk się nazywał. I raczej sprzyjał całkiem prosto, bardziej Polakom, mimo że był sekretarzem partii, to sprzyjał Polakom, bo w tym czasie sekretarzami to byli ludzie, którzy byli przysłani przez Sowietów i osadzani na stanowiskach. No, podjęła pracę, natomiast złożyła przysięgę w organizacji swojej, że będzie działała na rzecz organizacji, że nigdy nie zdradzi i tak dalej, wszystko, co będzie w jej mocy przekaże organizacji. Organizacja, kiedy dowiedziała się o tym, że dostała pracę w UB, to mają już wtyczkę, więc dostała rozkaz, aby wszelkie informacje przekazywać. Ale musiała być druga osoba, była nią Irena Szajowska, która cały czas siedziała w domu, nie było, żeby opuściła dzień czy ten, cały czas siedziała, natomiast Ala przekazywała bezpośrednio, wracając z pracy, wstępowała do niej, przekazywała jej informacje. A praca była w sekretariacie, sekretarką, więc miała dostęp do wszelkich dokumentów, które wykorzystywała. Praca w Urzędzie Bezpieczeństwa tutaj praktycznie w Przemyślu nie wychodziła naczelnikom tych wydziałów. Coraz to były zmiany naczelników, bo były wtyczki, które dezorganizowały im pracę, gdzie się wybierali, to tam plajta. Początkowo mama przekazywała wszystko ustnie, nic na piśmie, miała pamięć niesamowitą z opowieści Ireny Szajowskiej, miała tak fotograficzną pamięć, że wszystko mówiła. Natomiast było na tyle materiałów, że całkiem po prostu nie nadążała zapamiętywać, więc już robiła kserokopie dokumentów, wszelkich zdjęć funkcjonariuszy, wszelkie sprawy związane z UB, które wykorzystywała i przekazywała Irenie, a ona przekazywała dalej już gotowe na papierze. No i tak to wszystko kręciło się. Tutaj nastąpiły oczywiście w UB zmiany naczelników, jeden naczelnik, drugi naczelnik. No i był taki też jeden z funkcjonariuszy, Sawka się nazywał, mieszkał tam, gdzie Kino Roma w Przemyślu. Panowie nie będziecie wiedzieli, to jest tam blisko Matejki i Chopina, Grodzka, tutaj w centrum miasta, pod zamkiem Matejki, pod samym szczytem zamku Matejki, tam mieszkaliśmy. I mama przekazując, bała się, całkiem po prostu nie wchodziła. Tam była szeroka brama i od tyłu wejście od ogrodu. Niekiedy oni odwozili samochodem, to mama wysiadała z samochodu i ogrodem do Ireny Szajowskiej przechodziła i tam całkiem po prostu zdawała relacje, i przekazywała wszystkie te informacje, zdjęcia, nie zdjęcia. I tutaj, jeżeli rozchodzi się o naczelników, do Przemyśla przyjechał młody człowiek, porucznik Zapałowski Józef. Mama była ładną dziewczyną, młoda, ładna i Zapałowski zabujał się w mamie, i utrzymywał bliższe kontakty takie, prawda, urzędowe, ale mama starała się wykorzystać to i wszelkie informacje, które spływały, gdzie mama pytała, co tam, prawda, się dzieje, dlaczego tu aresz-

towani to młodzi chłopcy i tak dalej, że chciałyby zobaczyć, gdzie oni przebywają, bo w obozie przebywali tu w Przemyśle, uciekli z jednego obozu i tu w Przemyśle złapali ich i trafili tutaj do UB. No, ale mama wszystko to całkiem po prostu przekazywała od razu Irenie do organizacji i tam odpowiednio, czy do szpitala trzeba było kierować pacjenta, a stamtąd to już całkiem po prostu odbijali tego pacjenta, już nie było go. No i tak samo z tymi podchorążymi, około 50 ich było, to w nocy był napad, rozbroili strażników i wszystkich wypuścili, ale szli całkiem po prostu pod broń. Broń zabrali strażnikom, oni nie wiedzieli, kto to ich prowadzi, wyprowadzili na Lipowicę, a teraz wszyscy, uciekajcie gdzie możecie. Całkiem po prostu masę osób dzięki temu zostało uratowanych, bo tutaj wyroki były bardzo srogie, nawet wyroki śmierci wykonywali przy Krasieńskiego, tu, gdzie UB w piwnicach. Tak że starała się mama całkiem po prostu uchronić tych ludzi, gdzie jeżeli wiedziała, że należy do organizacji AK czy NSZ, czy innych, to zawiadamiała organizację przede wszystkim. No, a miała takiego „szefuncia”, o nim mówiłem, Sawka, który mieszkał gdzieś tam. Nazywali go „Tatuńciu”, „Tatuńciu” to niewinny człowiek, młody człowiek, trzeba go wypuścić”, czy kobietę, to młoda dziewczyna, partyzantka, którą gdzieś tam złapali. No, starała się całkiem po prostu, aby ci ludzie, których wiedziała, że są z organizacji, aby starać się uwolnić. No i pewnego razu mama jesienią miała urlop, po urlopie przyszła do pracy i zachorowała na tyfus od grudnia do lutego. I to była bardzo ciężka sytuacja z uwagi na to, że już późno było. Nie zorientowała się wcześniej, że choruje na tyfus i taki lekarz wojskowy, jaki zajął się tym, no i całkiem po prostu ją uwolnił, uzdrowił. I w tym czasie całkiem po prostu, to był lekarz bez ręki, pilot ze Lwowa. I nie wiedział, bo do mamy przychodził Zapałowski cały czas, pilnował i kręcił im głowę, że trzeba przypilnować i tak dalej. Więc lekarze robili, co mogli, tak? No, to z UB przyszedł. A Zapałowski, jeżeli rozchodzi się o Zapałowskiego, to był Polak z rodziny Powstańców Styczniowych, która została wywieziona na Sybir i on wychował się tam, na Ukrainie, całkiem po prostu obecnej, ale to Rosja. I tam był w żłobku, w przedszkolu, później uczył się. Był bardzo zdolny, miał rodzeństwo, miał troje, trzy siostry i brata, rodziców i wszyscy prawdopodobnie zginęli. On jeden się uratował i tam skończył szkołę, skończył studia pedagogiczne wyższe i nastąpiła wojna, i go wcielili do armii, i z pierwszą armią przyszedł właśnie tutaj, gdzie w Kujbyszewie mieli szkolenie oficerów, szkolenie oficerów było i tam właśnie jednym z takich panów był Bronisław, nazwiska sobie nie przypominę, który w Łucku mieszkał, byłem tam u niego w poszukiwaniu ojca, ale oni razem właśnie byli na tym szkoleniu w Kujbyszewie. I stamtąd ojciec przyszedł tutaj na placówkę, ponieważ oni, ci, którzy znali język polski dobrze i tak dalej, to przede wszystkim dawali na te placówki UB w innych takich strukturach, czy w wojsku, czy w innych strukturach swoich, wywiadowczych, bo dla nich to wygodne było, jak znał język jeden i drugi. No i tutaj, ponieważ nie wychodziło cały czas tutaj w tym UB, nigdy nie mogli dojść do porządku, że coś się dzieje pozytywnego, zawsze negatywnie, negatywnie, negatywnie, prawda, nic się im nie udawało, więc wymieniali tych naczelników więzień. I między innymi Zapałowskiego również zdegradowali i przenieśli do Rzeszowa. Mama jeszcze tutaj całkiem po prostu po chorobie przyszła do pracy i została, ponieważ tutaj w Przemyśle zatrudniono jeszcze jedną panią Marię Grzegorzczak jako też wtyczkę i już dwie kobiety były, gdzie szef organizacji wydał rozkaz, że mama ma przygotować ją do tego, jak ma pracować tutaj, a ona powinna się przenieść do Rzeszowa. I tam Rzeszowie mieli już załatwić wszystkie formalności, nawet, ponieważ tu przy przysiedze mama miała pseudonim Elżbieta, Ewa Elżbieta Podlaska i całkiem po prostu dostała rozkaz przejścia, postarania się przedostać do Rzeszowa. Tu mając już dwie wtyczki w UB, więc jedna pozostała, a mama do Rzeszowa. No i tam, ponieważ Zapałowskiego tam oddelegowali, był naczelnikiem jakiegoś tam wydziału i pomógł jej w uzyskaniu mieszkania, gdzie wywiad miał załatwić mieszkanie, wszystko, ale coś nie wyszło. Miał drugie dokumenty też załatwić w razie W. No i mama przeszła tam na kierowniczkę sekretariatu ogólnego, czyli całą szefową w sekretariacie, gdzie miała dostęp

do wszelkich dokumentów, gdzie dokumenty te wykorzystawała, pracując tam i dzięki Zapałowskiemu, który postarał się, nieraz przyszedł z pracy, „a znowu nam nie wyszło coś tam” i tak dalej, narzeka. No ale tak się to potoczyło, że tyle tych informacji było, że przerastało tych nawet, którzy odbierali te informacje, bo tam były zdjęcia konfidentów, wszystkich, naczelników wydziału, naczelników, funkcjonariuszy, ich adresy, dokładnie wszystko od A do Z, gdzie szkolenia odbywali, jakie szkolenia odbywali, to wszystko łądowało właśnie poprzez Alicję do wywiadu, to był wywiad brytyjski, polski w Wielkiej Brytanii, na rzecz drugiego wywiadu w Londynie. I mama całkiem po prostu przeszła, tutaj jak było 200 funkcjonariuszy UB, tu jakoś dawała sobie radę, tam było natomiast 2000 i już zaczęły się represje w stosunku do organizacji, i AK, i WIN, i brygad wywiadowczych zaczęli rozpracowywać całkiem po prostu. I mama już w kwietniu jeszcze z łącznikiem, którego tam miała w Rzeszowie, mówi, że długo... Będzie musiała zrezygnować, bo czuje, że jest im na całkiem po prostu tapecie i będzie musiała zrezygnować z tej pracy. Jeszcze pokłóciła się z naczelnikiem Wiśniowskim, który był tam, a ostatnie zdjęcia jeszcze i Wiśniowskiego, i wszystkich funkcjonariuszy jak leciało, wszystkich zdjęcia przekazała organizacji. I dokumenty, i wszelkie sprawy, które związane były, najtajniejsze sprawy zostały wykradzione, że wykradła i przekazała organizacji. Ale złożyła wniosek o zwolnienie jej z pracy, bo źle się czuje i tak dalej, że jeszcze pokłóciła się z naczelnikiem Wiśniowskim i rzeczywiście w maju dostała, na spotkaniu mówi do łącznika: „Ja już nie pracuję, ostatnie zdjęcia i dokumenty przekazuję, już mnie nie ma w pracy”. I tym samym mama się zwolniła i Zapałowski również się zwolnił. To był wojskowy, on był profesorem na uniwersytecie w Kijowie i wyładał geografię. Całkiem po prostu człowiek wykształcony, jeden z wykształconych, bo to przeważnie siedem klas, osiem, cztery klasy, niektórzy mieli, całkiem po prostu to był człowiek wykształcony i zakochał się w mamie, i to nie wybiera. Miłość nie wybiera, prawda? No i już szykował, mówi, „No, ale jak to?”, mama mówi, „Musimy podjąć decyzję, ja jestem katoliczką i ty musisz podjąć”, ale to nie było szansą, w UB był, bo przecież był tym naczelnikiem mimo wszystko, to że Polakiem był i tak dalej, więc już załatwiali cywilny ślub. I pech chce, spakowali się... Aha jeszcze, on mówi tak: „Bo mam możliwość otrzymania pracy w Lublinie, w Warszawie, w Krakowie, gdzie chcesz?” No, mama Kraków z uwagi na to, że w Morawicy tam pod Krakowem się urodziła i sympatyzowała z Krakowem, jednym słowem. I mówi, wybrali Kraków, i już załatwił pracę tam dla siebie na Uniwersytecie Jagiellońskim, załatwił mieszkanie, spakowali się i za dwa dni, mówi, że załatwiali jakieś sprawy, mieli wyjechać tymczasem. Zajechali pod UB, jeszcze Zapałowski mówi, że trzeba mu samochodu, żeby przewieźć tam jakieś rzeczy. No i mamę. On poszedł na górę, do mamy przyszli, akurat dokument, była wyspa, uzyskali wszystkie dokumenty, pełną dokumentację uzyskali od kogoś. Do dzisiaj nie wiadomo, trudno określić kto. Podejrzewają różnie, ale niezłapani, nie można kogoś osądzić. W każdym bądź razie mamę aresztowali. I mówią do niego, że chwilowo musi być zatrzymany, musimy wyjaśnić pewne sprawy, bo są jakieś nieporozumienia. A mama została mianowana podporucznikiem z Londynu w styczniu 1945. I ten dokument gdzieś tam był i wpadła przez ten dokument. Gdyby organizacja załatwiła tak jak ten drugie dokumenty, to udałoby się i mamie, i Irenie, i Grzegorzcykównie uciec. Jednym słowem, no, gdzieś. A tymczasem zostały wszystkie trzy aresztowane. Jedna po drugiej, mama najpierw, później Grzegorzcykówna, no i Irena też na końcu, najmłodsza była Irena. Tak że aresztowali mamę w Rzeszowie i tydzień po mamie aresztowali ojca, zarzucając mu, czyli Zapałowskiemu, że tam nie dopilnował całkiem po prostu rewizji, tu w Przemyślu, jeszcze tu w Przemyślu, że rosyjski pułkownik Gubariew czy Gubarew, tam nazwisko jest takie nie ten, i jeszcze drugi splądrowali mieszkanie, on wydał klucze im, bo chcieli zobaczyć, przeprowadzić rewizję. Nadrzędni jego, Rosjanie. No to im dał klucze i oni poszli. Okazuje się, to była Żydówka. Mieli tam majątku trochę, a ci ich ograbili. Właśnie ten Sawka widział, jak oni wywozili rzeczy z jej domu, z kamienicy. No i posądziła właśnie ojca o to, że całkiem po pro-

stu nie dopilnował, całkiem po prostu rewizji tej i był za to odpowiedzialny. Zarzucili mu również, że współdziałał z mamą i dostał wyroku 6 lat. Natomiast mama, aresztowana 20 października 1945 roku, będąc w drugim miesiącu ciąży, przebywała w śledztwie przez okres sześciu miesięcy, siedmiu nawet. Na zamku w Rzeszowie, najpierw na UB, później na zamku w Rzeszowie. 27 marca 1947 roku odbył się proces w jednej z sali UB w Rzeszowie, gdzie oskarżony były właśnie na jednym procesie. Irena Szajowska, Maria Grzegorzycz i Alicja Wnorowska. Więc Alicja, Irena Szajowska dostała wyrok 15 lat, Grzegorzyczówna dożywocie, a Alicja Wnorowska, mama, dostała karę śmierci. W dziewiątym miesiącu ciąży. I prokurator początkowo zażądał wyrok kary śmierci dla wszystkich trzech. No i tam obrońcy, z uwagi na Irenę, że była jeszcze młodociana, to na 15 lat Grzegorzyczównę – tę drugą, która w UB była – na dożywocie, a mama, karę śmierci, którą mieli wykonywać, prokurator zażądał, do trzech dni wyrok powinien być wykonany. Natomiast obrońcy byli, no i całkiem po prostu, mama była w celi śmierci i 27 marca zapadł wyrok śmierci, do miesiąca miał być wykonany. Ja się urodziłem 22 kwietnia, w celi śmierci. I tu prokurator właśnie przyszedł i mówi: „Syn Ci uratował życie”. Bo pod celą grali w karty, funkcjonariusze, to z opowieści innych, grali w karty. „Urodzi się córka, to wykonujemy wyrok, urodzi się syn, poczekamy, zobaczymy”. Po czterech dniach, po moim urodzeniu, przyszedł prokurator, oświadczył, że wyrok został złagodzony do dożywocia, pozbawienia praw publicznych, obywatelskich na zawsze. I przenieśli mamę wraz ze mną, gdzie rodziła, jeszcze chcę zaznaczyć, że mama rodziła bez pomocy osób trzecich. – Sama. – Sama. Przenieśli mamę do 20-osobowej celi, gdzie było 20 kobiet. Miałem 20 mam. Tam przebywałem przez okres ośmiu miesięcy, na zamku w Rzeszowie, wraz z mamą w 20-osobowej celi. Rodziła się tam między innymi też Basia, Majka, jak i Marta Kotelnicka. Marta Kotelnicka to była Ukrainka, która wyrok miała. Była aptekarką i sprzedawała organizacji UPA lekarstwa jakieś. Też złapała wyrok. Razem chowaliśmy się w celi przez okres ośmiu miesięcy. Tam były też więźniarki pospolite, które chodziły. Przyszła, parę dni posiedziała i na wolność. Coś poszła, ukradła i z powrotem wróciła. To one dostarczały nam całkiem po prostu jakąś żywność z zewnątrz, czy mleko, czy coś. Coś zawsze przemycali. Papiery i drzewa łupane przywoziły pod sobą, żeby była kuchnia, czy piec gdzie można było zagrzzać mleko, ale musiało się mieć jakieś paliwo. Kawałek gazety czy troszkę drzewa, bo tak nie dawali. Poza tym jedzenie było takie, jak dzieci miały, to samo co i więźniowie. 27 grudnia 1947 roku, ponieważ tam były różne przymiarki organizacji, mimo że poaresztowali masę osób, wyroki pozapadały bardzo wysokie. Dożywocia i 15 lat, i kara śmierci. Mama wśród 50 osób wtedy, mężczyzn, jedna otrzymała karę śmierci, których aresztowali. 27 grudnia w nocy, godzina 3:00, więzienie zostało przetransportowane do innych więzień w Polsce. Grudziądz, Fordon, inne całkiem więzienia, bo i mężczyźni, i kobiety. Między innymi i ojciec znalazł się tam, bo był w tym samym budynku na pierwszym piętrze. Widział mnie i jak matka go zobaczyła, była taka funkcjonariuszka Helena Budzka, która, jak mama otrzymała ten wyrok śmierci, to ona stała tam pod tą salą, jak wyszła mama roześmiana, wyszła mówi, w szoku. Ona mówi: „Co ty się, durna, śmiejesz, ty masz wyrok śmierci”. Mam oświadczenie nawet tej Budzkiej tutaj to pokażę panom, i wyrok śmierci też. W każdym razie 27 grudnia w nocy w drewniakach, wszystkich, pod strażą, prawie 2000 ubeków, przeprowadzili na dworzec do wagonów bydłych. Takie kójce porobione, żelazne, że dwie osoby mogły na stojąco jechać. I poszczególne wagony, ja z mamą byłem i jeszcze jedna więźniarka, która pomagała mamie mnie przytrzymać. Także szli na piechotę z więzienia na dworzec przy 20 stopniowym mrozie. W drewniakach, bo to wiadomo, że nie dali im butów, tylko drewniaki. To tylko ludzie przez okno zaglądali przez ten, jak ich wyprowadzali. Ojciec mnie ostatni raz właśnie widział, tam gdzie przybiegł, pyta się gdzie ja jestem, a to koleżanka trzymała mnie na rękach. I ojciec zobaczył, że mama idzie sama z tobołkiem, a gdzie ja jestem. I tak po prostu wyrwał się z tamtej grupy, przybiegł i mówi „gdzie jest syn?”. Mówi, że tutaj o ten. Ale przyszedł

funkcjonariusz, dostał parę kolb po plecach, upadł, zabrali go do wagonu i wywieźli do Barczewa, do więzienia. I to tak te wagony odczepiali po drodze. 30 godzin, ponad 30. Podróż moja z mamą trwała przy 20 stopniowym mrozie do Fordonu. Bo nie wiedziałem gdzie jadą, nikt nie wiedział, gdzie jadą. Czy na niedźwiedzie wysyłają ich, czy gdzie zimno, ciemno, bez jedzenia, bez picia. I dopiero jak przyjechali z rana o 6:00 na następny do Fordonu, to więzienie było zamknięte, dopiero otwierali o 8:00 godzinie. To do szopy zgarnęli wszystkie kobiety, bo Fordon to było więzienie dla kobiet, najcięższe więzienie polityczne dla kobiet. I tam właśnie ja między innymi. Przynieśli baniak gorącej wody tylko, tak żeby napić się tej wody ciepłej. Później rozebrali kobiety osobno, a dzieci, bo nie tylko ja byłem, tam jeszcze było dwoje dzieci. Ja nie wiem nawet, co to za dzieci, ani mama, nikt nie wie. W każdym razie mamie wydarli mnie, gdzie ja osiem miesięcy tutaj przebywałem z kobietami, 20 kobiet, każda starała się pielęgnować. Irena Szajowska, ta łączniczka mamy, mówi: „Ty miałeś 20 mam. To nie byle co.” Mówi „Ale ja jedna ciotka”. Tak że się śmiała. Kontakt mieliśmy bardzo bliski, gdzie cały czas z mamą kontakt i z nami tutaj przychodziła. Czy święta, bo ona sama była samotna, tak że tutaj przychodziły. W Fordonie rozdzielili dzieci do żłobka „piekielnego” tak zwanego, poniżej poziomu Wisły. Więźniarki też. Dali im oświęcimskie ubranka, wcześniejszą grupę wygolili, wszystkie kobiety. Tutaj udało się, że zostawili włosy. Cele osobne, tak żeby nie było kontaktu żadnego. Wiadomo, dyscyplina, nieposłuszeństwo, karce różne, że na korytarz wychodziły, to nie mogły tak normalnie stać, tylko do ściany, czołem do ściany. Stały i pytania zadawała funkcjonariuszka czy coś. Na spacer wychodziły co drugi dzień, 15 minut. A jak coś się nie podobało, to skracali do pięciu minut albo doszły do bramki i wróciły z powrotem. Przeważnie, tak jak mama opowiada, to robiły im rewizję, co tam która miała, to... Bo prycze były drewniane i sienniki, to tam słomy nie było, tylko sieczka taka była. No i wszy pluskwy, okropnie i świerzb tam w więzieniu panował. Jedzenie to była zupa z brukwi, czarna kawa i ćwiartka chleba. To było codzienne jedzenie i to jedzenie też podawali dzieciom. I pewnego razu całkiem po prostu przyjechała inspekcja z Warszawy. Wśród inspekcyjnych był wysokiej rangi oficer w stopniu majora, tak jak mama mówiła, gdzie do celi nie wolno było po godzinie 18:00 nikomu wejść. On jednak przyszedł do celi, do mamy i mówi: „Słuchaj, Ewa, podaj” i to pseudonimem mamy „podaj najbliższą rodzinę, znajomych, obojętnie, po trzech tygodniach, bo syn popłynie Wisłą. Podaj kogoś, żeby zabrali dziecko”. Mama początkowo nie wierzyła, no, przychodzi funkcjonariusz, to pilot jeszcze, ale podała nazwisko swojej siostry, Wanda Iwczenko, która zamieszkiwała w Ostrzeszowie w poznańskim, Kępno, Ostrzeszów, i tam na tym terenie. I rzeczywiście ten funkcjonariusz wysłał ten telegram do ciotki, gdzie ciotka na następny dzień przyjechała po mnie. Jeszcze powiedział do matki: „Twój syn jest w stanie krytycznym”. Ja rzeczywiście nie przyjmowałem pokarmów, w ogóle ropa z uszu, z nosa, z oczu, wrzody na ciele, wszy, pluskwy, w każdym bądź razie... I w Fordonie: „A skąd pani ma ten telegram?”. Ale dochodzili kto, co, jak, a tam nie było podpisane, tylko żeby przyjechać i zabrać dziecko. No i ciotka przyjechała. Jak przyjechała rano o 6:00, tak dopiero wydali mnie o godzinie 15:00. I to jeszcze, bo tam mamę, żeby mnie zapakowała do węzełka jakiegoś, w jakieś szmatki, łatki, bo tam w ogóle nie było jedzenia, nie było ubrania, nic, kompletnie takie same... To, co więźniowie, wszyscy, to dzieci, niemowlaki to samo miały. I dlatego noszą, bo tam i świerzb, i wszy, i pluskwy, to wszystko w takich warunkach dla dzieci, to nie są warunki dla dzieci, gdzie ani jedzenia, bo w tym czasie bardzo kiepsko z jedzeniem było i nie dostawały, dostawały tylko zupę z brukwi, kawa i ćwiartka chleba, początkowo. I wydano mnie już w stanie nieprzytomnym. A jeszcze rewizję przeprowadzili, czy tam mama coś do becika mi nie wsadziła. Rozebrali mnie i zabrała mnie ciotka do siebie. Nie była pewna czy mnie w ogóle dowiezie, nieprzytomnego, myślała, że ja chyba w pociągu już stracę życie. Tam z Fordonu, z więzienia do dworca kawałek drogi był, to zima, 20-parostopniowy mróz, nadjechał woźnica jakiś, końmi, no i widzi, że idzie kobieta z tobołkiem,

„Pani do pociągu? Bo ostatni pociąg, już nie będzie innego”. I wziął, pędził, żeby zdążyć na ten pociąg, ledwo co zdążyli, że wsadził, moją ciotkę, wsadził ją ze mną do wagonu. No i tak tam ludzie z pociągu zainteresowali się, to tam ktoś miał herbaty, ktoś ten, żeby dziecku dać, a ja nie przyjmowałem nic. Bała się ciotka, czy mnie dowiezie żywego, ale dowiozła do Ostrzeszowa, tam zajęli się mną lekarze, ciotka już przygotowała znajomych jakichś lekarzy, doktor Promińska i doktor Radek, którzy się mną zajęli. No nie dawali nadziei na moje przeżycie, początkowo, także do roku czasu, to codziennie zmieniali się, przyjeżdżali do mnie, bo ciotki mojej, Wandy, mamy, siostry, rodzice mieszkali na wiosce w Turzu, koło Ostrzeszowa. No tam wiadomo, krówka, mleko, wszystko tam mieli. I babcią, która się mną zajęła, bo ciotka pracowała na poczcie, na telegrafie i ona odebrała sama ten telegraf, pracując tam. Wtedy do naczelnika, że musi pojechać po mnie, dał jej zezwolenie i dlatego pojechała szybko. Tam całkiem po prostu rok czasu, to ja nie siadałem, nie mówiłem nic, walczyli o moje przeżycie różnymi sposobami. Babcia to mnie na rękach nosiła cały czas, na zmiany, dziadek jeszcze żył, to mnie nosili. No i ciotka miała starsze dzieci, Jurka sześć lat starszego ode mnie i Krysię trzy lata starszą, taka trójca była nasza później. No, ja mając dopiero cztery lata, zacząłem pierwsze kroki stawiać. Jak miałem dwa lata, to zacząłem siadać powoli. Do tego stopnia mnie doprowadzili właśnie w więzieniu w Fordonie. I tam dzieci, było 35 dzieci. Tam dzieci spływały Wisłą, te które odchodziły, spływały. Ponieważ ja, jak i inne dzieci, szereg innych dzieci było nierejestrowanych w ogóle o urodzeniu. Mnie nie zarejestrowali w Rzeszowie w ogóle, że się urodziłem. Ani w Rzeszowie, a w Fordonie również nie zarejestrowali mnie. Oni chcieli koniecznie zlikwidować i mnie, i mamę, bo mama za dużo, całkiem po prostu dbała o niepodległą. I dlatego taki los ją spotkał. I dopiero mając cztery lata, piąty rok już, pierwszy raz pojechałem z ciotką na widzenie do Fordonu do mamy. Tam widzenie trwało 15 minut i to za siatką, krata, siatka. Tyle, co mogła zobaczyć, coś tam powiedzieć, do widzenia. A jak coś się naczelnikowi czy funkcjonariuszowi nie podobało, koniec, widzenia nie ma. Tak że 15 minut i więcej nie ma. Nie mogło mnie mama ani przytulić, ani ten, bo to są siatki, bali się, że recydywista, do recydywistki przyjechali.